

Save me

Część VI

Wodзиłem bezcelowo karabinem po okolicy. Widok z dachu kilkupiętrowego budynku był całkiem niezły. Widziałem kilka ulic, co pozwalało na wcześniejsze wykrycie niebezpieczeństwa. Niewielki placyk tuż przed moim posterunkiem zastawiony był samochodami policji, była tam też jedna karetka. Dziś porzucone, rdzewiejące auta stanowiły smutny obraz przeszłości. Przez lunetę zajrzałem do wnętrza radiowozów, po czym skierowałem ją na taflę wody na płynącej kilkaset metrów dalej Tamizie. W pewnej chwili moje spojrzenie zatrzymało się na dość znanym elemencie krajobrazu miasta. Most Milenijny. Niby zwykła przeprawa przez rzekę, a jakże popularna wśród turystów. Może to ze względu na ciekawy styl w jakim został zbudowany, a może przez bliskość Katedry św. Pawła? W każdym razie, dziś obie te budowle nie wyglądały już najlepiej. Sam most w połowie zarwany i skąpany w wodzie, natomiast Katedra nie miała już swojej rozpoznawalnej kopuły. Tak po prostu, ta część budynku zawałiła się.

Londyn, tak znany i rozpoznawalny niegdyś, wielomilionowe miasto, chluba Wielkiej Brytanii, zmienił się nie do poznania. Jak wszystko zresztą... . To, co kiedyś było tak znane, wielokrotnie uwieczniane na pocztówkach, zdjęciach z wakacji, dziś stanowiło cień samego siebie. Jak rak niszczący tkanki, tak katastrofa wyniszczyła to miasto, wypaczając jego piękno, przekształcając je w potworną karykaturę.

Zameldowałem w jednostce, że od kilku godzin nie zaobserwowałem żadnego ruchu w okolicy. Nie przewinął się żaden kundel, żadna zmora, czy cokolwiek innego. Od dwóch dni panował nadzwyczajny spokój, co doprowadzało wszystkich do swego rodzaju nerwicy. Najgorsza jest niepewność. Czyżby te cholery coś szykowały? Czy zbierają siły, by zaatakować jednostkę? Co się dzieje? Gdzie zniknęły wszystkie kundele, gdzie są zero-szóstki? Cisza. Jak w radio.

Dowództwo po ostatniej misji niemal zamknęło się w swojej siedzibie, nas wysyłali na zwyczajowe patrole, bylebyśmy tylko nie siedzieli beczynnie w jednostce, która swoją drogą zaczynała przypominać beczkę prochu. Nie umiem tego opisać, ale wyraźnie było czuć większe napięcie w strefie. Wszyscy stali się jacyś milczący, nieufni, każdy na każdego jakoś tak dziwnie patrzy. Chociaż... to bardziej dotyczy nastawienia mieszkańców do nas, strażników. Wcześniej zdarzało mi się zaobserwować jakieś złowrogie spojrzenie, czy burknięcie gdzieś za plecami, teraz natomiast jest to notoryczne. Spoglądają na nas jak na zło wcielone, dziś przed wymarszem słyszałem kilka obelg rzuconych w naszą stronę, coś w stylu „Obyście już nie wracali!” i tym podobne. Miło.

Z dwojga złego już wolę siedzieć na tym dachu, wiedząc, że jak pies mnie zaatakuje to będzie on moim szczerym wrogiem, który dopadnie mnie z czystą wściekłością, kierowaną

głodem i ponadprzeciętną agresją a nie jakimiś wymaginowanymi zarzutami z nożem w rękę, gotowym by wbić mi go w plecy. Tutaj zginę w słusznej sprawie, tam – w wyniku bezpodstawnej wrogości i niezrozumienia świata otaczającego taką jednostkę. Tak ja to odczuwałem. Jak jest naprawdę, tego nie wiem.

Midnight ziewała przeciągle przy lornetce, spoglądając na okolicę. W pewnej chwili nie było kwadransa w którym nie ziewnęłaby kilka razy. Z tych nudów już zacząłem liczyć ile razy ziewa kucoperz. Było za spokojnie. A spokój zazwyczaj zwiastuje burzę. Tylko jak dużą tym razem?

- Gołąb jeden, wracaj do jednostki – usłyszałem w pewnej chwili w słuchawce.

- Przyjąłem, bez odbioru – odparłem.

Wstałem i rozciągnąłem się.

- Dobra, na dziś fajrant, zbieramy się, Mid – rzuciłem do kucoperka.

Midnight ziewnęła przeciągle, mruczając coś pod nosem.

- Myślisz, że w końcu dostaniemy kolację? – spytała.

To pytanie uświadomiło mi, że od dwóch dni właściwie nie dostaliśmy nic do żarcia po powrocie do jednostki.

- Wypadałoby. Na samej wodzie daleko nie zajedziemy... - odparłem, nieco zamyślony, przewieszając karabin przez ramię.

Po chwili byliśmy już na poziomie ulicy, w drodze powrotnej do jednostki. Panowała przejmująca cisza. Jedynie wiatr poruszał jakimiś śmieciami na ulicy, czy liśćmi na drzewach. Tu i ówdzie powiewała firanka czy zasłonka z rozbitego okna. Dźwiękiem wybijającym się ponad to wszystko były tylko moje kroki. Nic nie było w oddali, nic nie wybiegało z witryn sklepów, szeleszcząc na rozbitym szkłe, nic nie czało się w trawie, powodując nienaturalny szmer. Zupełnie jakby wszystkie nasze zwierzątka opuściły to miasto. Może miało to związek z tym sygnałem? Najpierw nienaturalna wręcz agresja i atak na każdy napotkany patrol czy wyprawę, a teraz cisza.

Nie trzeba było żadnego przeczucia, by wiedzieć, że coś jest nie tak. Było za spokojnie, ciągle istniało jakieś parcie na to, iż coś na nas czyha, a teraz kiedy to ciśnienie nagle zniknęło, człowiek zaczynał świrować. Skończy się na tym, że sami zaczniemy sobie skakać do gardeł...

Sam już nie wiedziałem, co mam o tym wszystkim myśleć. Niby mogłem spokojnie to zostawić na głowie dowództwa, niech oni się nad tym rozwodzą, a samemu skupić się na zdobyciu jakiegoś jedzenia na kolację, bo fakt faktem, żołądek powoli zaczynał mi przyrastać do kręgosłupa przez tę wymuszoną dietę. Śniadanie to jednak trochę mało, nawet jak dla mnie. Jakiś prowiant na drogę i na cały dzień, ale wieczorem też wypadało by coś przegryźć.

Kiedy dotarliśmy do jednostki, zauważyłem, że pozostali strażnicy też już wrócili. Po minięciu bramy skierowałem się do zbrojmistrza żeby zdać broń. Nie zamieniliśmy nawet

słowa. Ja nie miałem pomysłu o czym by tu zagadać, a i Michael był jakiś taki osowiały i milczący. Zdaję sobie sprawę, że publiczne strzelenie sobie w łeb przez jednego ze strażników nie jest codziennością i konkretnie poruszyło mieszkańców. Człowiek, który widział różne rzeczy poza murami jest chyba bardziej odporny na takie obrazki i sytuacje. Zwłaszcza biorąc pod uwagę fakt, że jeszcze jakiś czas temu sam chciałem coś takiego zrobić. Przed wszystkimi, na głównym placu. Tamtego dnia na własne oczy mogłem zobaczyć, jak zareagowaliby pozostali. Szokiem i niedowierzaniem, a w następnych dniach, wrogością i uprzedzeniem.

Kiedy już pozbyłem się ciężaru broni, skierowałem się w milczeniu w stronę stołówki. Spojrzałem nieco niepewnie na pozostałych strażników. Myny mieli podobne. „Iść, nie iść?”. Niepewność i lekki strach. Aż mi się to udzieliło. Jak poza jednostką wszystko było w porządku, tak tutaj zaczynałem się bać o siebie i Mid. Tam mam swoją broń, a tutaj? Nóż ze stołówki? Widelec? Własne ręce i zdolności. Poza strefą, kundel nie zagada do ciebie, by odwrócić twoją uwagę, tylko z miejsca zaatakuję. Tam nikt nie uda miłego i przyjaznego, żeby po chwili wbić ci nóż w tętnicę... Kurwa, chyba sam popadam w paranoję. Przecież do tej pory nic takiego się nie stało, skąd więc mam takie pomysły? Widziałem, jak na nas spoglądali. Widziałem tę nienawiść, wrogość. SZLAG! Przecież ja się boję tych, których miałem ochraniać! Więc po chuj ja im teraz? Są tak naładowani, że jeszcze chwila i to zero-szóstki trzeba będzie chronić przed mieszkańcami strefy, a nie odwrotnie... Nie, z tego głodu zacznę gadać głupoty. Kolokwialnie rzecz ujmując – pierdolę od rzeczy.

Z pewną obawą ruszyliśmy wszyscy w stronę stołówki. Mid szła spokojnie obok mnie. Wydawało się, że jej ta cała sytuacja nie rusza. Miała tę samą minę co zawsze, nieco zadziorne spojrzenie, tajemniczy uśmiech i pewny krok. Ona chyba nie bała się niczego. W zasadzie, mało kto był w stanie jej zagrozić w bezpośredniej walce. Mimo wszystko, nawet wiedząc, że sama sobie poradzi, czułem jakiś nieuzasadniony lęk o nią. Sam wołałem przyjąć cios przeznaczony dla niej i móc potem z pełną wściekłością oddać, niż by ktoś miał jej zrobić krzywdę. Chociaż z drugiej strony, ona po czymś takim zrobiłaby większą krzywdę niż ja. W końcu zawsze jest uzbrojona w te swoje kły.

Weszliśmy na stołówkę i ruszyliśmy do blatów, by odebrać nasze racje. O dziwo coś na nas czekało. Tacki, na kształt tych jednorazowych sprzed upadku, przykryte jakimś sreberkiem, ustawione obok siebie na pustym blacie jednego ze stolików. Cóż, dobre i to. Podeszliśmy do tego stolika i wzięliśmy swoje porcje. Odwinąłem sreberko i ujrzałem jakąś zieloną papkę, kromkę chleba, i coś bliżej niezidentyfikowanego, spalonego na węgiel.

- Dobra, kurwa dosyć tego! Co to ma do chuja być?! – ryknął Sven, jeden ze strażników.

- Może od razu dajcie nam węgiel do żarcia, co? – wtórował mu bladoszary pegaz, jego kompan.

Pozostali strażnicy nieco się po sobie rozejrzeli, ale również zaczęli wyrażać swoje obiekcje co do jakości posiłku. Cóż, nie zostałem w tyle, również wyraziłem w dość niecenzuralnych słowach co o tym myślę. Zresztą, znany byłem z tego, że lubiłem zakląć od czasu do czasu. Po chwili z zaplecza wyszedł kuchta.

- Jedzonko się nie podoba? To może sobie coś kurwa upolujecie, co? – syknął.

- A bardzo chętnie, może tak dla odmiany od spalonego węgla, twój udziec? – warknąłem, spoglądając na kucharzynę.

- Sam to zeżryj! – huknął inny pegaz, akurat nie pamiętam imienia, dość egzotyczne miał.

- Jak się nie podoba to wypierdalać! – ryknął na nas gastronom.

- Koleś, a może tak się zamienimy co? Ja pogotuję, a ty pójdziesz za mur? Zobaczysz, jak to dobrze siedzieć cały dzień z burczącym brzuchem – rzucił stojący obok mnie Arnie.

Akurat w tym momencie na stołówkę weszło kilku mieszkańców. Chyba z sekcji upraw, albo hodowli. Nie kojarzyłem ich wszystkich.

- A cóż to? Nasi rycerze kręcą noskiem, że jedzonko jest be? - zadrwił jeden z nich.

Widziałem jak napięcie rośnie. Arnie zrobił się niemal cały czerwony ze wściekłości, mi też ciśnienie nieco skoczyło. Sven przytrzymywał swojego kompana, któremu najwyraźniej puszczały nerwy.

- Jak jedzenie się nie podoba, to droga wolna, możecie sobie coś upolować tam za bramą. Nikt was tutaj nie trzyma – rzucił drugi z przybyłych.

- Uważaj koleś na słowa, gdyby nie my... - zaczął Arnie, ale jeden z mieszkańców wszedł mu w słowo:

- Gdyby nie wy to co? Gdyby, kurwa, nie wy nie musielibyśmy racjonować jedzenia! Darmozjady! Co robicie takiego dla jednostki? Co?! – ryknął któryś. – Chronicie nas? Sami siebie nie potraficie upilnować, żeby nic wam dupy nie odgryzło! I my mamy niby na was polegać?!

Arnie zacisnął pięści, ja automatycznie chyba też, poczułem jak zaczynają boleć mnie palce od ich ściskania.

- Nie potrzebujemy was! Powinniście iść za przykładem waszego pobratymca! Jedyne dobre danie dla was – ołów.

Teoretycznie nasze szkolenie nie obejmowało zapobiegania prowokowaniu, nie uczyli nas, jak nie dać się sprowokować, ale jako grupa, póki co, trzymaliśmy się nieźle. Żaden z nas jeszcze nie wybuchł na rozmówców, nie posypały się jeszcze obelgi, jednak wiedziałem, że jeszcze chwila i ta beczka prochu eksploduje.

Spojrzelismy po sobie, zrozumiałem, że olewamy tych chujków. Jak nigdy usiedliśmy dość blisko siebie i rozłożyliśmy nasze tacki na blatach. Ledwo zdążyłem otworzyć swoją porcję, jak zauważyłem, że do stolika obok podeszli prowokatorzy. Jeden z nich zrzucił ostentacyjnie porcję Svena.

Tak szybkiej akcji nie widziałem od dawna. W ułamku sekundy Sven podniósł się ze swojego miejsca i na miejscu znokoutował tego gościa. Kolesiowi jakby ktoś żarówkę zgasił. Poleciał jak kłoda na przeciwległy stół rozbijając sobie o niego łeb.

Dalej potoczyło się jak w klasycznym westernie, gdzie w jakimś barze nagle wszyscy ze wszystkimi się piorą po pyskach. Nas było ośmioro, razem z kucykami, ich - pięciu.

Sam nie czekałem na zaproszenie do bitki. Zerwałem się z miejsca i rzuciłem na najbliższego gościa. Powaliłem go na ziemię i obłożyłem po pysku pięściami. Dość szybko poczułem na rękach krew. Odskokczyłem w samą porę, by uniknąć nadlatującego krzesła. Wtedy gość, którego obłożyłem pięściami, zamachnął się, usiłując ugodzić mnie jakimś śrubokrętem w nogę. Płynnym ruchem przydepnąłem jego rękę i wyrwałem narzędzie z dłoni, chyba łamiąc mu kilka palców, pewny nie byłem, w ogólnym harmidrze ciężko rozróżnić łamane krzesło od kości.

Koleś jakoś się poderwał i odskoczył, by niemal w tej samej chwili rzucić się na mnie. Zadziałąłem odruchowo. Uskokczyłem, blokując atak, kolano zawędrowało w żołądek, a kiedy atakujący zgął się w pół zdzieliłem go w plecy. Sam nawet nie zorientowałem się, kiedy wbiłem mu obok łopatki ten cholerny śrubokręt.

Zdażyłem jeszcze zauważyć, jak spokojna do tej pory dwójka strażników łamie stół jednym z mieszkańców. Koleś przeleciał przez sklejkę jak nóż przez masło, lądując pod połamanym blatem twarzą do ziemi.

Po chwili z zaplecza wypadł kucharz, który schował się tam po naszej rozmowie. Dopadł do niego Sven. W ostatniej chwili dopiero zauważyłem, że kuchta miał w ręku jakiś nóż. Strażnik jednak zdażył zrobić unik, złapał go za rękę z tym nożem, aż coś chrupnęło. Na twarzy kucharza zamalował się grymas bólu, ale na błagania było już za późno. Nim zdażyłem się zorientować, rękojeść noża wystawała z uda napastnika, a łokieć Svena trafiał w czaszkę zwijającego się z bólu gościa.

Jak na rozkaz, na stołówkę wpadli zawodowi, na czele z sierżantem Sweethatherem. Już miałem zakrywać uszy by uchronić się przed jego wrzaskiem, ale dowódca tylko rozejrzał się po poboju, spojrzał na kucharza i łypnął na nas. Wskazał kciukiem za siebie i syknął:

- Do pułkownika!

Ruszyliśmy jak na rozkaz. Nawet nie próbowaliśmy brać czegoś do jedzenia. Ba i tak większość „kolacji” wałała się po podłodze.

Wyszliśmy ze stołówki i ruszyliśmy w kierunku budynku dowództwa. Był to trzypiętrowy dom na skraju placu. Wejścia strzegł zazwyczaj jeden zawodowy. Po kilku chwilach byliśmy już wewnątrz, obserwowani przez sierżanta. Stanęliśmy w szeregu w jednym z pokoi narad i czekaliśmy na przyście Jonesa.

Właśnie sobie uświadomiłem, że z pegazów tylko kompan Svena brał czynny udział w walce. Reszta stanęła na uboczu. Zerknąłem na Mid. Była zupełnie spokojna. Pewnie

cieszyła się, że zaraz dostaniemy opierdół na czym świat stoi. Spojrzała na mnie, nieco zdziwiona, ale nic nie powiedziała.

Zapewne przez tych dupków ze stołówki dostaniemy tydzień zawieszenia w obowiązkach i czyszczenie sraczy. A może jeszcze w międzyczasie wyjdzie sprawa tego kutasa, którego obiliśmy kilka dni temu. Zarobię dwa tygodnie pucowania sracza. Albo jeszcze innego gówna do roboty...

Do pomieszczenia wszedł pułkownik Jones. Skinął na sierżanta, tamten zaszalutował, tak jak jego podwładni i ulotnił się z miejsca przyszłego mordy, zamykając za sobą drzwi.

Jones powiódł po nas wzrokiem. Nagle poczułem dziwny spokój. Chuj, co ma być to będzie. Ważne, że pokazaliśmy tamtym skurwielom, gdzie ich miejsce w szeregu. Mogliśmy jeszcze im wepchnąć to gówno zwane kolacją do gardeł, to by dopełniło wszystkiego.

- Do tej pory nie zdawałem sobie sprawy jak zaczęła poczynać sobie kuchnia – zaczął pułkownik, stojąc przed nami z rękoma złożonymi za plecami. – Acz dziwię się, że żaden z was nie przyszedł na skargę. Na co liczyliście? Co? – spytał, ale odpowiedziała mu cisza i pełne skupienia spojrzenia. – Postaram się załatwić tę sprawę. Ale z tego, co się dowiedziałem, będzie nam potrzebny nowy kucharz. Po tym co mu zrobiliście jeszcze długo nie będzie nadawał się do pracy.

Pułkownik zdawał się lepiej wiedzieć co zaszło na stołówce niż ja. To podnosiło nasze szanse na wywinięcie się od szorowania kibli.

- Zdaję sobie sprawę z tego, jak traktują was mieszkańcy, zdaję sobie sprawę ze spadku zaufania, a takie sytuacje jak ta sprzed chwili jeszcze bardziej nam szkodzą. Jednostka wydaje się być dzisiaj podzielona. Jedni opowiadają się za wami, inni są wam przeciwni.

Zabawne, jakoś tych pierwszych jeszcze nie spotkałem. Póki co widziałem same wrogo nastawione mordy...

- Niemniej, obecna sytuacja, jak i prowokacje, nie zwalniają was z waszego obowiązku. Jesteście tutaj, by ich strzec. Bronić! Nie tłuc po ryjach, łamać kości, albo wbijać noże! Wiem, że tamci sobie na to zasłużyli, ale chyba rozumiecie, jak bardzo sobie w ten sposób zaszkodziliście? – spytał. Pokiwaliśmy głowami, faktycznie tak było. – Znienawidzą was jeszcze bardziej niż do tej pory. Będzie jeszcze ciężiej. Zastanawiam się nad odizolowaniem was od reszty jednostki. Prawdopodobnie dostaniecie kwatery w innym rejonie bazy – dodał, po czym zamyślił się nieco. – Zatem, dzisiejszą sytuację uznaję za niebyłą. Ale pamiętajcie, następny taki wyskok, nieważne, czy sprowokowany czy nie, pożałujecie tego. Wszyscy. Zrozumiano?!

- TAK JEST! – krzyknęliśmy.

- Odmaszerować – rozkazał. – Rawski, Hasden, wy zostajecie. Midnight i Hagen też – dodał.

Kiedy pozostali opuścili pokój, pułkownik zawołał jednego z zawodowych, drugiego sierżanta, Ronsona.

- Sierżant Ronson wybrał was dwóch na kolejną misję – zaczął Jones. – Wybierzecie się do północnej części miasta, do jednego z magazynów spedycyjnych firmy kurierskiej. Na krótko przed upadkiem zostały one przekształcone w magazyny sił porządkowych. Potrzebujemy stamtąd kilku rzeczy – dodał.

- Magazyny? Przecież to kilkanaście kilometrów od nas – stwierdziłem.

- Owszem – odparł Ronson – dlatego użyjemy wozu opancerzonego.

No to mnie zaskoczył. Wiedziałem, że mamy wozy opancerzone, ale nie sądziłem, że kiedyś w końcu zostaną użyte.

- Jedziecie wy, sierżant i szeregowy Backie – dodał pułkownik.

- Nie za mało nas? – zaproponował Sven.

- Wystarczająco, nie potrzeba nam więcej ludzi. Wybrałem was, ponieważ w ostatniej misji to wy dwaj zachowaliście odpowiednio zimną krew, kiedy zrobiło się gorąco.

- Z całym szacunkiem, wtedy dowodził nami sierżant Sweetwather – odparł Sven.

- Owszem. O wszystko go wypytałem. W zasadzie, to on pomógł mi was wybrać. Spytałem go o najlepszych ludzi z ostatniej misji. Wy i wasi kompani, Midnight i Hagen, będziecie naszą tarczą w razie jakiegokolwiek ataku tam na miejscu. Skompletowaniem potrzebnych rzeczy zajmę się ja i szeregowy Backie.

- Sir, nadal sądzę, że nasza grupa to za mało – nalegał Sven.

Ronson westchnął, po czym spojrzał na Jonesa. Ten skinął nieznacznie głową.

- Hasden, Rawski... ta misja ma charakter poufny. Im mniej ludzi tym lepiej. Polegamy na zaufanych osobach. Wy dwaj wielokrotnie dowiedliście, że można na was polegać. Nie możemy sobie pozwolić, by faktyczne cele misji przeniknęły do wiedzy mieszkańców – odparł sierżant.

Spojrzałem na pułkownika. Coraz mniej rozumiałem o co w tym wszystkim chodzi.

- Więc jaki jest faktyczny cel misji? – dążył Sven.

- To chwilowo poufne. Dowiesz się w swoim czasie – odparł Ronson. – Poza tym, zachowanie poufności, to nie prośba. To rozkaz – dodał.

- Tak jest! – odparliśmy nieco niechętnie.

- Zbiórka o piątej – dodał pułkownik. – Odmaszerować.

Zasalutowaliśmy i opuściliśmy budynek. Kiedy tylko wyszliśmy na zewnątrz Sven od razu zaczął się zastanawiać.

- Nie wydaje ci się to dziwne, Maks?

- Słuchaj, Sven. Im mniej pytań zadajemy, tym lepiej – odparłem. – Są im potrzebne jakieś zabawki z drugiego końca miasta? Niech je sobie biorą. Ponadto, nie sądzę, żeby wybrali nas dwóch ze względu na to, że jesteśmy niby najlepsi. Obaj nagrałiśmy sobie w ostatnim czasie. Obaj podziurawiliśmy dzisiaj zwykłych mieszkańców. Fakt, że nie dostaliśmy za to żadnej czapy o czymś świadczy. Założę się, że gdybyśmy się sprzeciwili, dostalibyśmy ultimatum: albo jedziecie, albo przywitacie waszych pupilków zza bramy. Znasz prawo tutaj panujące. Mamy okazję do rozgrzeszenia, czemu z niej nie skorzystać?.

Sven wyraźnie się skrzywił. Przeglęliśmy dzisiaj i to bardzo. Obaj o tym wiedzieliśmy. Może i ta misja śmierdziała na kilometr jakimś gównem, ale skoro nawet Jones jest w to zamieszany? Znałem prawo, a mimo to i tak jakiś chujek ma przeze mnie dodatkową dziurę. Zdaję sobie sprawę, jaka kara obowiązuje za atak na mieszkańca. Może i wykpiłbym się faktem, iż to oni zaatakowali nas, ale kto stał wyżej? Ja, czy sierżant z pułkownikiem?

- Sprawa jest powalona – rzucił Sven – ale masz rację. Ktoś musi przy tym pomóc. Tylko czemu nie powiedzieli tego wprost?

- Wojskowe nawyki. Czy wojsko kiedykolwiek czymkolwiek się chwali? – spytałem.

Sven machnął ręką.

- Pierdolę to, mam nadzieję, że to jednorazowy wypad. Nie uśmiecha mi się kryć jakichś ciemnych interesów dowództwa, tylko dlatego, że pokazałem komu trzeba, że nie warto nam podskakiwać – burknął.

- Sven, oczekujesz sprawiedliwości po upadku świata. w którym nigdy jej nie było? – spytałem.

- Ten świat był popierdolony i taki zostanie – rzucił. W tej kwestii Sven miał absolutną rację.

Pożegnaliśmy się i ruszyliśmy do swoich kwater. Kiedy tylko zamknąłem za sobą drzwi, od razu osunąłem się na ziemię.

- KURWA! – syknąłem – Co ja odpierdalam?!

Spojrzałem na zaskoczoną Midnight. Byłem na siebie wściekły. Przez własną głupotę i nieumiejętność utrzymania nerwów na wodzy teraz i ona została wplątana w jakieś gówno w które bawi się dowództwo. Kurwa! A myślałem, że już nie ma po co, nie ma ku temu już żadnego powodu, ale nie, gdzie tam kurwa! Oni dalej prowadzą te swoje gierki, dalej potrzebują mieć kogoś komu mogą przystawić lufę do łba za jego przewinienia i powiedzieć: „Pracuj dla mnie, albo giń”. Aż uderzyłem głową o metalowe drzwi. Jeszcze raz i jeszcze raz...

Mid podbiegła do mnie, po czym zdzieliła mnie kopytem w pysk.

- MAKS! Co ty robisz? – spytała ostro.

Chciałem coś odpowiedzieć, chciałem się usprawiedliwić, wydusić z siebie cokolwiek, ale nie mogłem. Spojrzałem na nią i zacisnąłem zęby. Kurwa, nawet nie mogłem spojrzeć jej w oczy. Opuściłem wzrok i wbiłem spojrzenie w beton.

- Midnight... ja... przepraszam, nie chciałem cię w coś takiego wplątać... - wydukałem w końcu.

Nagle, Mid dzieliła mnie chyba z całej siły w łeb. Zabolało jak cholera. Już szykowała się do kolejnego ciosu, kiedy spojrzałem na nią kompletnie zdezorientowany.

- Po pierwsze – syknęła, stukając kopytem w moją brodę i nieco unosząc moją głowę – nie traktuj mnie jak żrebaka. Trochę już przeżyłam i umiem o sobie zadbać. Jesteś trochę przewrażliwiony. Po drugie, owszem, nie cieszę się na myśl o jutrzejszej wyprawie, ale takie są rozkazy. Po trzecie, skoro już w tym siedzimy razem, to razem też przez to przejdziemy. Dobrze wiesz, że oboje święci nie jesteśmy i nie raz nie dwa, jedno za drugie obrywało, albo cierpiało razem z nim, więc to żadna nowość.

Nic nie odpowiedziałem. Patrzyłem tylko na klacz w milczeniu.

- No, ale za tę straconą kolację, to musisz dać się ugryźć – dodała, już mniej ostrym i poważnym tonem. – Podwijaj rękaw.

W pierwszej chwili, zamiast dać się karnie pogryźć, po prostu ją przytuliłem. Odruchowo. Wiedziałem, że pogryzie mnie za to bardziej, ale nie dbałem o to.

Wczesnym rankiem stanęliśmy przed przygotowanym do drogi transporterem w pełnym wyposażeniu. Nie wiem, z jakiej racji jednostka dysponowała amerykańskim wozem opancerzonym stryker, ale był. Stał na placu przed bramą z otwartym tylnym włazem. Zauważyłem, że miał zdemontowany karabin, co nieco mnie zdziwiło. Liczyłem na ewentualną szybkostrzelność broni w przypadku ataku. A nawet jeśli nie to, to jakiś aspekt psychologiczny, że mamy coś, co potrafi wymiać jak należy do przeciwnika. Cóż, trzeba było polegać na swoich zdolnościach i refleksie.

Na wyposażenie nam nie poskąpili. Zamiast swojej Petki dostałem FN2000. Cholera, chyba mam słabość do belgijskiej broni. Do tego standardowo zestaw do komunikacji miejscowej, tylko dowódca miał radio osiagające jednostkę. Trochę amunicji, latarka, no i to standardowe żelastwo, które zawsze ze sobą targałem.

Ronson skończył rozmawiać z pułkownikiem, po czym wskazał byśmy wsiadali. Wewnątrz raczej nie było za wygodnie, ale cóż, nie ma co narzekać. Mogłem i siedzieć na samej podłodze strykera, ale będąc w nim bezpieczny, nie bojąc się, że coś mnie napadnie. Wątpiłem, by cokolwiek z czym walczyliśmy było w stanie dostać się do środka. Chociaż...

W każdym razie. Panowała jakaś dziwna cisza. Nikt się nie odzywał. Mid uznała, że jeszcze trochę się prześpi, opierając się o mnie i traktując jak poduszkę. Sven wbił wzrok w jeden punkt na przeciwległej ścianie i z zacisniętymi zębami uważnie mu się przyglądał. Hagen skupił się na poprawieniu swojego wyposażenia, grzebał coś przy jednym z pasków.

Uznałem, że obserwowanie, jak zмага się ze sprzętem, będzie dobrym zjadaczem czasu. Nie miałem ochoty na rozmyślania. Nie miałem ochoty pytać o cokolwiek dowódcy, ani nawet próbować jakiegokolwiek rozmowy. Widziałem, albo raczej, domyślałem się, czemu tu jestem, więc chciałem to mieć jak najszybciej za sobą.

Ronson siedział z kwaśną miną tuż za fotelem kierowcy. Próbowałem sobie przypomnieć, czy coś wiem o tym człowieku. Zazwyczaj na misjach dowodził nami Sweetwather, a tego gościa rzadko widywałem poza jednostką. Owszem, wyszedł raz czy dwa, prowadząc inną drużynę, ale ja nigdy nie byłem pod jego komendą. Aż do dzisiaj.

Wóz jechał wolno. Nieśpiesznie lawirował między porzuconymi samochodami, niektóre przesuwając na bok, inne wręcz taranując i cofając wymijał. Nie było właściwie tak źle w nim siedzieć. Śmierdziało nieco stęchlizną i smarem, ale dało się wytrzymać. Wszystkie włazy były szczelnie zamknięte, a światło zapewniały niewielkie lampki na ściankach. Kojarzyłem ten pojazd z serii Battlefield, gdzie, odpowiednio obkładając go ładunkami, wysyłało się go na dach tego czy innego budynku. Albo zestrzeliwało nadlatujące samoloty, w odpowiednim momencie detonując spory zapas C4 podłożonego pod pojazdem. Cóż, nie chciałbym teraz czegoś takiego przeżyć.

Wsluchiwałem się w warkot silnika transportera, zastanawiając się czy Sven i sierżant skoczą sobie na miejscu do gardeł. Widziałem po swoim kompanie, że nie jest pocieszony tym wyjazdem. Minę miał nietęgą i zapewne niewiele brakowało, by puściły mu nerwy. Ronson nie zdradzał żadnych emocji. Teraz wyglądał na spokojnego, nawet niespecjalnie zainteresowanego nami. Zerkał od czasu do czasu na nas dwóch i tyle. Czasem zgłosił coś do jednostki, odebrał jakiś meldunek czy co tam.

W pewnej chwili wpadłem na pomysł, by włączyć na chwilę swoje radio i sprawdzić, czy coś zmieniło się w eterze. Przekręciłem przełącznik, zmieniłem zakres i wsluchiwałem się w biały szum. Jednostajny, spokojny, niezmienny szum. Zero zakłóceń, przesterowań. Czyli to co zwykle. Po chwili wyłączyłem radio. Szkoda baterii. Poprawiłem sobie mikrofon, byle tylko czymś się zająć. Takie siedzenie w ciszy nieco mnie zaczynało niepokoić.

Kiedy powoli zaczynałem tracić rachubę czasu, wóz nagle zatrzymał się.

- Jesteśmy na miejscu, panowie i panie, wysiadka! – polecił sierżant.

Kiedy tylko włąz opadł stanęliśmy przed ogromnym magazynem, porzuconym krótko po upadku. Wielkie drzwi frontowe były wyłamane, jedno ich skrzydło jeszcze trzymało się na górnej szynie, ale drugie leżały tuż obok. Nawet z ziemi było widać, iż dach nie jest w najlepszym stanie. Zerwane były spore płyty blachy.

- Midnight, Hagnen, zwiad – polecił Ronson, wskazując na niebo.

Kucyki momentalnie wzbiły się w powietrze, wzburzając pył zalegający na podjeździe. Rozejrzałem się po okolicy. Był to ogrodzony siatką teren, nieco na obrzeżach miasta. Wjazd był zdemolowany, a sam plac manewrowy nie był w najlepszym stanie. W kilku miejscach były spore leje, zupełnie jak po bombardowaniu. Na skraju jednego z nich zauważyłem leżący na boku pojazd. Skupiłem na nim wzrok i po chwil rozpoznałem drugiego stryker.

Tylny właz był otwarty, ale nie wyrwany. Brakowało kilku kół, wyglądał na okopcony, ale sam pancerz nie był naruszony.

Reszta placu nie wyglądała wcale lepiej. Jakieś porozrzucane śmieci, kawałki metalu leżące w całkowitym nieładzie, rozsypane sterty metalowych dłużnic, czy wsporników, cholera wie co to było. Zaraz obok leżało mnóstwo pogieętych i pordzewiałych beczek. Obraz jak po jakiejś większej rozpierdolże, kolokwialnie rzecz ujmując.

- Okolica czysta – padła informacja od Midnight.

- Sektor czysty – dodał Hagen.

- Przyjąłem, wracajcie – polecił sierżant.

Kiedy tylko kucyki wróciły, Ronson polecił, byśmy zbadali magazyn. Odbezpieczyłem broń, sprawdziłem kanał komunikacji i skinąłem na Svena, dając znak, że jestem gotowy. Minęliśmy zniszczone drzwi i stanęliśmy na wejściu do ogromnego magazynu. W środku panował względny porządek. Nie było za wiele porozrzucanych skrzyń, czy połamanych stelaży. Więcej za to było brudu naniesionego przez wiatr do środka, przez zniszczone ściany i dach.

Ostrożnie i jak najciszej weszliśmy dalej. Uważnie rozglądając się po magazynie, lustrowaliśmy kolejne jego metry. Sprawdzaliśmy każdy cień, każdy kąt. Mid i Hagen szymbowali ponad nami, sprawdzając czy nic nie czai się za kolejnym regałem, czy ta czy inna skrzynia nie jest zasadzką z kundlem w środku, albo innym prezentem.

Mniej więcej w połowie długości zauważyliśmy sporą wyrwę. Zupełnie jakby ktoś przywalił z jakiejś haubicy w ścianę. Z tym, że wsporniki i słupki wyglądały na przecięte. Płaty blachy leżały daleko wewnątrz magazynu, niektóre wręcz rozpruły skrzynie i pudła. Kiedy zbliżyliśmy się bardziej, zauważyliśmy, że betonowa podłoga jest spękana i rozorana, a sama wyrwa okazała się być jeszcze większa. W tym miejscu zniszczony był zarówno dach, jak i ściana, a także podłoga. Pobliski stalowy wspornik, stojący mniej więcej po środku hali, był wygięty. Ostrożnie podeszliśmy do wylotu wyrwy i to co ujrzeliśmy całkowicie nas zatkło.

Oto przed nami spoczywał wrak samolotu pasażerskiego. Tysiące fragmentów różnej wielkości zalegało w ogromnym leju jaki powstał po upadku maszyny. Rozpoznałem jego masywne silniki leżące nieopodal. W około rozrzucone było mnóstwo niegdyś niebieskich foteli z logo linii lotniczych. Wielkie płyty poszycia maszyny walały się w całym leju, gdzieś tuż obok magazynu leżał statecznik pionowy.

Dodatkowo podczas upadku, całkowicie rozorwała plac obok hali, niszcząc ogrodzenie i stojące na zewnątrz wyposażenie. Widziałem fragmenty wózka widłowego, jakieś osobówki, stelaże, jakieś beczki, wszystko całkowicie powyginane, porozrywane. Najgorsze co dopełniało tego potwornego obrazu, to bielejące kości. I nie, nie były to całe szkielety leżące to tu, to tam. Były to pojedyncze kości, czasem kończyny. Gdzieś obok jednego z foteli zauważyłem połamaną klatkę piersiową, ale nie było przy niej ani czaszki, ani kości rąk. Do części szczątek przyschnięte były jeszcze ubrania, gdzieś zauważyłem połamany piszczel wystający z buta. Zdziwiło mnie, że tak mało kości ma na sobie jeszcze fragmenty skóry. Mimo wszystko, po takim czasie, powinno coś zostać, jakiegokolwiek ślady, ale tutaj te

kości wydawały się być całkowicie z niej oskubane. Sam nie wiedziałem, która myśl bardziej mnie przerażała. Ta, że ciała zostały rozczłonkowane podczas katastrofy, a resztą zajęły się psy i inne cholerstwa, czy to, że jeszcze żywi ludzie zostali dopadnięci? Chociaż nie... samolot musiał spaść gdzieś w międzyczasie całego tego chaosu. Zapewne nie zainteresowały się nim żadne służby ratownicze. Najnormalniej już nie istniały... Kolejna myśl zatem – ci ludzie umierali w wyniku odniesionych obrażeń, przeżywszy katastrofę lotniczą.

Spojrzałem na Mid. W milczeniu przyglądała się miejscu katastrofy. Zerknąłem na Svena. Jego mina wyrażała to samo co ja myślałem – kompletne szaleństwo. Bierzymy udział w jakiejś pokręconej misji i przy okazji znajdujemy wrak samolotu. No czemu nie.

- Meldujcie – padło w słuchawce.

- Póki co czysto – odpowiedział Sven.

- Wracajcie, zbiórka przy transporterze – padło w słuchawce.

Po kilku chwilach wyszliśmy z magazynu. Musieliśmy mieć nietęgą minę, Ronson spojrzał na nas ze zdziwieniem, ale o nic nie spytał.

- Magazyn czysty, nie znaleźliśmy niczego niebezpiecznego – zakomunikowałem.

- Doskonale – odparł Ronson. – Zajmijcie się tymi butlami – polecił.

- Propan – butan? – spytałem. – Po tylu latach jeszcze się nadają?

- Jak widać. To magazyn rezerw, te są przystosowane do długotrwałego przechowywania. Tylko ostrożnie, są dość kruche. Nie mamy sprzętu, by przepompować zawartość do tych transportowych, są dość wrażliwe – odparł Blackie. – Spakujcie jeszcze te kanistry – dodał, wskazując na niewielkie pojemniki.

- Uwijajcie się, a my zajmiemy się naszymi sprawami – dodał Ronson, poganiając Blackiego. Ruszyli w stronę magazynu, odbezpieczając broń.

Patrzyliśmy jak nasi przełożeni znikają w ogromnej hali, po czym spojrzeliśmy po sobie.

- No zajebiście. Jeszcze będziemy jechać na tykającej bombie – syknął Hagen.

Mid obwąchała jedną z butli.

- Raczej nic się nie ulatnia, wyglądają na szczelne – odparła lustrując zawór.

Zerknąłem do wozu. Miejsca chyba wystarczy na wszystko. W sumie trzy butle z gazem i siedem kanistrów. Ułoży się to pośrodku, a jak walnie... to i tak nie będzie co zbierać. Spojrzałem na baniaki ułożone na takim jeżdżącym stelażu i dostawione butle. Jakoś nikt nie kwapił się z zabieraniem za robotę.

Sven usiadł na wejściu do wozu, Hagen wzbił się w powietrze, a Mid dalej obwąchiwała butle. Wdrapałem się na strykera i rozejrzałem po okolicy. Daleko poza

ogrodzeniem zauważyłem jakieś osiedle domków jednorodzinnych, kilka sklepów i chyba jakiś market. Sama okolica wydawała się dość pusta jeśli chodzi o zabudowę. Nigdy nie byłem w tej części Londynu. Owszem, patrząc w kierunku, z którego przybyliśmy, widziało się centrum i te wysokie budynki, ale i tak to mogło się odnieść wrażenie, że jest się na kompletnym zadupiu.

- Coś tu za cicho – rzucił Sven. – Hagen, widzisz coś? – spytał do mikrofonu.

- Pusto. Nie widzę nawet śladów bytności czegokolwiek – padła odpowiedź.

- Czyli nawet nie postrzelamy – westchnął Sven, bawiąc się zabezpieczeniem broni. – Jak myślicie, po co tutaj tak naprawdę przyjechaliśmy? – spytał po chwili.

- Po świętego graala – rzuciłem, zeskakując z pojazdu. Sven dziwnie się na mnie spojrzał.

- Myślę, że i tak się nie dowiemy – odparła Midnight.

Sven westchnął. Pokręcił głową i spojrzał gdzieś w dal.

- Nie podoba mi się to... - rzucił po chwili.

- Podoba czy nie, musimy zapakować to cholerstwo – rzuciłem, sprawdzając wagę jednej z butli.

Nagle, coś zaskrzeczało w mojej słuchawce. W pierwszej chwili uznałem, że to coś z kablem, kiedy szarpnąłem ciałem by podnieść butlę, ale po nagłej zmianie miny Svena wywnioskowałem, że też to słyszał.

- Słyszałeś to? – spytał.

Pokiwałem twierdząco głową. Zerknąłem na Mid, ona też pokiwała na znak, że słyszała to samo co my.

- Odbiór? – rzucił do słuchawki.

Odpowiedziała nam cisza, którą po chwili przerwał kolejny trzask w słuchawce.

- Co jest, do cholery? – syknąłem. – Jak nigdy nie ma zakłóceń, tak nagle dzisiaj im się zebrało?

Sven uciszył mnie gestem, przyciskając do ucha słuchawkę, starając się wylapać więcej dźwięków.

- RUCH STO METRÓW OD NAS! – wrzasnął Hagen. Prawie rozerwało mi bębenek w uchu. Pegaz niemal w tej samej chwili wylądował z hukiem na transporterze.

- Coś się zbliża ze wschodu – rzucił, wskazując kopytem na ogrodzenie i pusty teren za nim.

W jednej chwili odblokowaliśmy broń i unieśliśmy ją do oczu. Mid i Hagen wzbili się w powietrze, by ostrzec nas zawczasu przed niebezpieczeństwem.

- Sierżancie! Mamy ruch w sektorze! Odbiór! – meldował Sven, ale ponownie odpowiedziała nam cisza – Kuuurwa! – syknął.

- Ruch! – krzyknąłem po czym wypaliłem w coś, co przemieszczało się za siatką.

Ogrodzenie zagrzechotało, chyba nic nie trafiłem.

- Coś zbliża się z drugiej strony! – padło w słuchawce.

Nawet nie zdążyłem pomyśleć, by zakląć, kiedy ogłuszył mnie przeraźliwy zgrzyt, a stelaż z butlami i kanistrami wyskoczył w powietrze i przeokołkował kilka metrów. Obaj ze Svenem obróciliśmy się w jego kierunku i prawie posraliśmy się ze strachu. Między rozrzuconymi kanistrami tarzała się na ziemi zero-szóstka. Momentalnie wypaliliśmy, nie zważając na pojemniki z paliwem.

Rozległ się potworny ryk. Zmora zawiała się na ziemię, brudząc ją swoją krwią. W tej samej chwili przypadkiem przestreliliśmy jeden z kanistrów. Benzyna rozlała się na potwora i na ziemię, a kolejna iskra ją podpaliła.

Stało się coś nieoczekiwanego. Zero-sześć kompletnie zwariowało. Wydała z siebie jakiś okrutny pisk i gulgot, zaczęła się szamotać jak opętana, kiedy ogień objął jej cielsko. Starła się odskoczyć, ale rozlane paliwo niemal całkowicie ją zalało. Płonący i wyjący potwór to naprawdę niecodzienny widok. Pruliśmy łowiem, ile tylko było w magazynku.

To było prawdziwe szaleństwo! W autentycznej burzy ognia wiła się najgorsza zmora człowieka i kucyka w tych czasach. Kolejne pociski odrywały płonące fragmenty cielska, które fruwały jak iskry z ogniska. Jak w amoku, rzeka ołowiu płynęła nieprzerwanie, dopiero po chwili dotarł do mnie wrzask w słuchawce. Odwróciłem się, by zobaczyć jak Midnight i Hagen z całym impetem spadają na kolejną zero-szóstkę. Siła ich uderzenia odrzuciła tę kurwę kilka metrów w bok.

Niemal bez namysłu, złapałem jeden z całych kanistrów i otwierając go rzuciłem po ziemi. Sven zaczął do niego strzelać, a kiedy tylko buchnął płomień, który objął ślad pozostawiony na ziemi powstała ściana ognia. Widzieliśmy jak zmora utrzymuje bezpieczną odległość od płomieni. Znaleźliśmy sposób na to chujstwo!

- Maks! – wrzasnął Sven, rzucając mi kolejny pojemnik. Rozlaliśmy paliwo w pierścień zamykający transporter i nas w środku. W kilka chwil ściana ognia obejmowała niemalą kawałek terenu. Widziałem jak ta pierwsza cholera, która nas zaatakowała, kopciła się na skraju naszego ognistego ogrodu.

W kilka chwil zebrało się więcej tych skurwieli. Widziałem jak okrążają ognisty pierścień, ale nie zbliżają się do niego.

- Odbiór! Mamy kontakt! ODBIÓR! – Sven krzyczał do mikrofonu starając się wywołać sierżanta.

- Powinniśmy zamknąć się w transporterze – rzuciłem wskazując na wóz i ruszając w jego stronę. Sven dopadł wjazdu, Hagen i Mid jeszcze na chwilę wzbili się w powietrze.

Nagle, tak jak poprzednio, coś zaskrzeczało w słuchawce. Nawet nie zdążyłem spojrzeć na kompanów, kiedy zauważyłem, jakby po zero-szóstkach przeszedł prąd. Spięły się, wyprostowały, kilka z nich ryknęło, chyba zaczęły się odsuwać. Niespodziewany huk wystrzału szarpnął całym moim ciałem.

W tej chwili czas zwolnił. Kiedy adrenalina szaleje w żyłach, napięcie sięga niebios, a człowiek jest spięty w obronie własnego życia, dostrzega więcej. Usłyszałem metaliczny dźwięk, jakby coś odbiło się od czegoś stalowego. W tej samej sekundzie Potworny wybuch rozdarł powietrze.

Gorący podmuch szarpnął mną jak szmacianką. Rzuciło mną, zupełnie jakbym nic nie ważył. Jak w transie widziałem, jak ogromna ognista kula obejmuje wejście do transportera, a wraz z nim całe ciało Svena. Widziałem, jak bezwładny Hagen zostaje odrzucony podmuchem zupełnie jak ja. Nie widziałem Midnight. Nim jakakolwiek myśl zdążyła przemknąć mi przez umysł, upadłem na beton. Przetoczyłem się kilka metrów, przelatując przez pierścień ognia. Moja broń poleciała cholera wie gdzie, a wyposażenie które miałem przy sobie odbiło się na moim ciele. Poczułem kłujący ból w dolnej części tułowia. Albo żebro, albo coś wbiło mi się w bebechy.

Kiedy po dosłownie ułamku sekundy dekoncentracji świadomość wróciła, zauważyłem jak bezwładne ciało Midnight z ogromnym impetem uderza o beton. Klacz odbiła się kilka razy i zatrzymała się kilka metrów ode mnie. Nie ruszała się.

Spróbowałem wstać, ale okropny ból niemal natychmiast ściął mnie w pół. Zakląłem na czym świat stoi i zacząłem się czołgać. W połowie drogi postanowiłem jeszcze raz stanąć na nogi. Tym razem ta sztuczka udała mi się.

Niepewnie stanąłem na nogach i ruszyłem w kierunku Mid. Leżała tam zupełnie bez ruchu, na boku, aż coś mnie zakłuło w dołku. Nie chciałem dopuszczać do siebie jakiegokolwiek myśli...

- Maks! – jak przez grubą ścianę usłyszałem głos sierżanta. Spojrzałem w stronę z której dobiegał dźwięk.

Ronson dobiegł do mnie, chciałem coś powiedzieć, ale tylko spojrzałem na klacz. Sierżant spojrzał na mnie, potem na klacz.

- Musimy... - chciałem coś z siebie wydusić, ale bolało jak cholera – wrócić do jednostki – wyrzuciłem z siebie.

Sierżant Ronson stanął przede mną. Wyprostował się i odparł:

- Nie jesteś mi już potrzebny.

Spojrzałem na niego zupełnie skołowany. W tej samej chwili dowódca wyciągnął pistolet i wycelował we mnie. Nie wiem czemu, ale odruchowo sam się wyprostowałem. Nim jednak mój mózg zareagował odruchem sięgnięcia po broń, usłyszałem huk wystrzału.

Coś potwornie zapiekło mnie pod ostatnimi żebrami. Nawet nie wiem kiedy straciłem równowagę i upadłem na ziemię. Poczułem jak ciepło zaczęło rozlewać się od pasa w dół. Nim świadomość przyjęła to co się stało, zobaczyłem nad sobą twarz Ronsona. Złapał mnie za kołnierz i uniósł lekko.

- Nigdy cię nie lubiłem Rawski... - syknął z uśmieszkiem na twarzy.

Przyłożył mi lufę do skroni i znów wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Mógłbym cię tutaj zastrzelić, jak psa – zaczął.

Chciałem coś odpowiedzieć, ale próba napięcia mięśni tylko sparaliżowała mnie bólem.

- Uznałem, że zabawniej będzie, jak dopadną cię te skurwiele. Wiesz co mam na myśli, nie? – syknął, szczerząc się. – Ty i ten twój popieprzony odmieniec. Oboje tutaj zdechniecie – dodał, spoglądając na Midnight. Spojrzał na mnie, uniósł pistolet i zabezpieczył go. – Miłego umierania – dodał, puszczając mnie. W drugiej ręce miał jakiś niewielki czarny przedmiot. Chyba go ścisnął. W tej samej chwili coś zatrzeszczało w słuchawce.

Odwrócił się i jakby nic się nie stało odszedł w stronę transportera. Zauważyłem Hagen, próbującego dźwignąć się na nogi. Widziałem, że jedno skrzydło miał opuszczone i całe zakrwawione. Po pyszczku również spływała mu krew. Ronson chyba nawet się nie zatrzymał. Przechodząc wycelował w głowę pegaza i pociągnął za spust. Huk wystrzału szarpnął mnie za serce. Widziałem, jak Hagen opada bez życia na ziemię.

Całkowicie zdezorientowany, sparaliżowany bólem ponownie spróbowałem wstać. Gdzieś na obrzeżach odmawiającej posłuszeństwa świadomości usłyszałem zamykany włącznik od transportera i start silnika. Rozejrzałem się i zauważyłem, że jestem niedaleko tego wywróconego wozu.

Ryk silnika przejeżdżającego strykera całkowicie mnie ogłuszył, ale zaraz potem usłyszałem ten charakterystyczny warkot i bulgot.

- Ty skurwysynu... - syknąłem.

Spojrzałem w stronę Mid. Nawet nie zdawałem sobie sprawy, kiedy łzy napłynęły mi do oczu. Zorientowałem się dopiero wtedy, kiedy zaczęły spływać po policzkach. Płakałem jak dziecko. Wielkie krople spadały na beton, splamiony moją krwią.

- Kurwa! To nie tak miało być – syknąłem, kuląc się z bólu.

Znów coś ryknęło. Spojrzałem w stronę dopalającego się pierścienia. Kręciły się tam te kurwy. Jedna z nich zajęła się ciałem Svena, rozszarpując je. Odwróciłem wzrok. Jemu już nic nie pomoże.

Ucisnąłem miejsce trafienia. Poczułem, jak ciepła krew zaczęła spływać mi po rękę. Docisnąłem ranę mocniej, sycząc z bólu. Nagle pewna myśl zaświtała mi w głowie.

- Nie pozwolę się tutaj rozszarpać! Nie dopadniecie mnie kurwy! Ani mnie ani Mid!

Rozpiąłem pas, na którym miałem kaburę i kilka kieszonek. Podciągnąłem go wyżej i przełożyłem jeden z magazynków od karabinu pod niego, nad raną. Uklęknąłem i zacisnąłem zęby, po czym najmocniej jak mogłem i najdalej jak się dało, zacisnąłem pas, dociskając magazynek do rany wlotowej. Ból był potworny, ale przynajmniej na chwilę zatamowałem krwawienie.

Spróbowałem wstać. Bolało mnie całe ciało, ale udało mi się. Sam już nie wiedziałem czemu. Wstałem. Stałem niepewnie, ale stałem. Dałem pierwszy chwiejny krok, potem następny i kolejne. Po chwili upadłem obok ciała kłaczy. Cały ból jakby ustąpił. Fizyczny został zastąpiony psychicznym.

Midnight leżała bez ruchu przede mną. Nie widziałem, by oddychała. Dotknąłem ją, ale nie zareagowała.

- Midnight – szepnąłem wtulając się w nią.

Nagle wszystko przestało się liczyć. Nie zwracałem uwagi na coraz bliższe ryki, nie zwracałem uwagi na ból. Nie zwracałem uwagi na nic. To wszystko było tak abstrakcyjne. Ta misja, atak, wybuch i zachowanie sierżanta. Pogubiłem się we własnych myślach. Chciałem, by był to zły sen, koszmar, z którego zaraz się obudzę, nawet z wrzaskiem, obudzę Midnight a ona mnie za to pogryzie, obudzę się i będzie kolejny nudny dzień w jednostce, kolejna zielona papka, kolejny patrol i siedzenie na posterunku...

Po chwili uniosłem głowę. Sam już nie wiedziałem, co czułem. Nagle ośwładnął mnie całkowity spokój. Rozejrzałem się beznamiętnie po okolicy. Benzyna już się dopalała, a zmory powoli traciły zainteresowanie ciałami Hagena i Svena.

Zebrałem się w sobie, kucnąłem i dźwignąłem ciało Midnight na rękę. Niepewnie stanąłem na nogach. Jeszcze raz rozejrzałem się. Widziałem, jak jedna ze zmor mi się przygląda. Stała tam, za tą ścianą ognia i czekała. Spokojnie czekała, aż ogień zgaśnie. Wiedziała, że wtedy będzie mogła mnie dorwać.

Spokojnie odwróciłem się i ruszyłem do przewróconego transportera. Nie pozwolę im tak łatwo się do mnie dobrać.

Kiedy dotarłem do wjazdu, schyliłem się i wszedłem do środka. Wewnątrz było pusto. Trochę światła wpadało przez przednie wąskie okna i wejście. Na kłęczkach przeszedłem nieco głębiej, raniąc kolana o wystające elementy ścianki. Ale teraz ból już się nie liczył. Czułem go, ale chyba zacząłem ignorować. Ułożyłem ostrożnie ciało Midnight na oparciu siedziska i pogłaskałem je.

Odwrociłem się i szarpnąłem za właz. Za pierwszym razem ani drgnął. Ale kiedy szarpnąłem drugi raz, wraz z akompaniamentem jazgotu zero-szóstek zaskrzypiał i trzasnął o budę. Szarpnąłem jeszcze raz i wewnątrz zapanował półmrok. Właz zatrzasnął się.

Wyprostowałem nogi. Znow poczułem jak krew zaczyna spływać po tułowi. Łzy zaschnęły mi na twarzy. Nagle poczułem, jak wszystkie siły mnie opuszczają. Tak jak do tej pory byłem w stanie się poruszyć, tak teraz nie mogłem nawet ruszyć ręką. Obróciłem głowę w stronę Mid. Spróbowałem się przekręcić, ale nie mogłem ruszyć swojego ciała.

Nagle dobiegło do mnie jakieś drapanie. Świadomość zaczęła szwankować, ale wiedziałem, że to zero-szóстки dopadły do transportera. Słyszałem ich warczenie. Słyszałem jak dobijają się do włazu, jak próbują rozszarpać pancerz. Coś przebiegło po pojeździe.

Chyba na chwilę przysnąłem, bo nagle otworzyłem oczy. Poczułem, że wróciło mi trochę siły. Znow usłyszałem jak te zmory coraz głośniejsze dobijają się do środka. Sięgnąłem po swojego Walthera. W sumie to ledwo mogłem go utrzymać. Obejrzałem go, tak jak za pierwszym razem, kiedy dostałem go do ręki. Odbezpieczyłem go.

Oparłem głowę o zimny metal. Świadomość znow zaczęła przygasać. Gdzieś na jej obrzeżach słyszałem skrobienie o poszycie.

Nagle zobaczyłem Midnight. Stała uśmiechnięta tuż przede mną i przyglądała mi się uważnie. Znow miała na pyszczku ten swój zadziorny uśmieszek. Jej złote oczy przyglądały mi się. Nic nie mówiła, tylko przyglądała mi się. Wyciągnąłem do niej rękę.

Prawą ręką trafiłem w coś. Otworzyłem oczy. Był to jakiś element wyposażenia stryker. W ręku trzymałem broń. Wziąłem głęboki wdech.

Nawet nie wiem, kiedy włączyło mi się radio. Słyszałem ten sam jednostajny szum. Niezmienny, jednolity biały szum i widok opuszczonego miasta. Wtuliłem się w klacz. Jej grzywa zawsze miała zapach wiatru. Zacząłem bawić się jej uchem. Lubilem te frędzelkowate uszyska Nietoperka. Mid nie lubiła, jak to robiłem, bo jej uszy były cholernie wrażliwe, ale i tak ryzykowałem pogryzieniem, byle tylko trochę potarłmość te śmieszne radary.

Coś głośno skrobęło o metal. Jakiś warkot rozległ się jakby tuż nad moją głową. Coś uderzyło o właz. Miałem wrażenie, że cały wóz zadrżał. Rozejrzałem się po panoramie miasta. Tak ciche i spokojne. Poczułem się jakoś spokojniej niż wcześniej. Zrobiło mi się chłodno. Wtuliłem się bardziej w klacz. Wziąłem głęboki oddech. Zapach wiatru. Zapach wolności.

- Dziękuję ci, Midnight. Uratowałaś mnie tamtego dnia.

Koniec części VI